

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.

1/2 " — 40 "

1/4 " — 20 "

1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Gra, czy zabawa?

Mimo, że formalnie rokowania polsko-litewskie nie zostały jeszcze zerwane, można już śmiało mówić o ich ostatecznym wyniku ujemnym.

Niezależnie od rozmów, prowadzonych w Kownie i Warszawie na tematy drugorzędne, rząd litewski przesłał d. 23 czerwca rządowi polskiemu projekt traktatu, regulującego zasadniczo stosunki pomiędzy Polską a Litwą. Dn. 9 lipca rząd polski odpowiedział krótko, że nie może przyjąć do wiadomości propozycji rządu litewskiego, ponieważ projekt „usiłuje poddać pod dyskusję nienaruszalność terytorjum polskiego”.

Istotnie artykuł pierwszy rzonego projektu brzmi, jak następuje: „Układające się strony zgadzają się na to, że terytorjum położone między granicą litewsko-rosyjską, wyznaczoną w art. 2 traktatu pokojowego moskiewskiego z dn. 12 lipca 1920 r., a linią demarkacyjną ustaloną przez Radę Ligi Narodów d. 3 lutego 1923 r. stanowi terytorjum uznane za sporne przez oba państwa”.

Rząd litewski uważał swój projekt za kompromisowy, ponieważ zgadzał się na uznanie Wileńszczyzny za terytorjum sporne, gdy dotychczas stał na stanowisku bezwzględnej jej przynależności do republiki litewskiej. Żądał też takiego samego ustępstwa ze strony Polski. Jednakże co innego jest rezygnować częściowo ze swych praw i pretensyj teoretycznych, a co innego — z faktycznego stanu posiadania. To też rząd polski odrzucił *a limine* propozycję litewską, nie wchodząc w rozpatrzenie jej szczegółowe uważając za niemożliwą wszelką nawet dyskusję na ten temat.

Skoro zaś Polska nie ma zamiaru poczynić żadnych ustępstw w sprawie Wileńszczyzny, jasnym się staje, że nie może być mowy o jakimkolwiek po-

rozumieniu z Litwą, dla której wszelkie inne oferty nie mają żadnej wartości. Jeżeli więc i będą się toczyły w dalszym ciągu pertraktacje, a nawet jeżeli nastąpi jeszcze wspólna konferencja plenarna w Królewcu, to nie można oczekiwać od nich jakiegokolwiek konkretnego rezultatu. Dalsze rokowania są zupełnie bezcelowe i usprawiedliwić je może jedynie zamiłowanie dyplomatów do przelewania z pustego w próżne.

Było do przewidzenia dla każdego krytycznego obserwatora, że kwestji Wileńszczyzny nie uda się ominąć w pertraktacjach, mających na celu nawiązanie stosunków sąsiedzkich pomiędzy Polską a Litwą. W tej lub innej formie, pierwiej lub później musiała ona na forum obrad wypłynąć. Zdawało się tylko, że na tę ewentualność były również przygotowane obie układające się strony i że skoro tyle czasu i energii poświęcono na przedwstępne targi i ceremonje, poruszenie drażliwego punktu nie powinno było wywołać tego zdumienia, o jakim wspomina odpowiedź rządu polskiego.

Jednakże trudno znów przypuścić, aby rządy polski i litewski, niewątpliwie dobrze poinformowane o wzajemnych intencjach i zamiarach decydowały się na rozpoczęcie uciążliwych rokowań jedynie w tym celu, aby po dłuższym czasie stwierdzić niemożliwość dojścia do porozumienia i powiedzieć sobie grzecznie: dowidzenia. Nie mogły również nakłaniać do takiej pustej zabawy czynniki decydujące w Radzie Ligi Narodów, którym zapewne także nie było tajemem, że próba ustalenia jakiegoś *modus vivendi* między Polską a Litwą będzie musiała się rozbić o problem wileński. Widocznie więc w tych rokowaniach, z góry skazanych na niepowodzenie był jakiś cel, ukryty dla oka szerszej publiczności, ale dobrze znany kierownikom polityki europejskiej. Jaki? To wyjaśni dopiero wrześniowe zebranie Ligi Narodów, na którym sprawa fiaska pertraktacyj

polsko-litewskich znajdzie się, jak wiadomo, na porządku dziennym.

Nie zdziwilibyśmy się zbytnio, gdyby Liga Narodów, wobec stwierdzenia faktu niemożliwości uregulowania stosunków polsko-litewskich w drodze bezpośrednich układów, ujęła sprawę w swe ręce i upoważniła Radę do jej definitywnego załatwienia, a nie zdziwilibyśmy się również, gdyby rządy polski i litewski pod presją Ligi Narodów, a raczej czynników decydujących w jej Radzie, przystąpiły na takie rozstrzygnięcie zatargu, o jakim dobrowolnie nawet słuchać dziś nie chcą. Wówczas dopiero uwidoczniłaby się w całej pełni zręczna gra dyplomatyczna, której początek datuje się od czasu głośnych retorsyj wileńskich w październiku r. u., a której epilogu doczekamy się zapewne jeszcze nie tak prędko.

Jeżeli jednak domysł nasz okaże się nietrafny i jesienna sesja Ligi Narodów nie zmieni w niczem dotychczasowego stanu rzeczy, czyli, że zapoczątkowane w Królewcu narady polsko-litewskie były po prostu zabawą inscenizowaną ku uciesze naiwnej opinii europejskiej pod hasłem *ut aliquid fecisse videatur*, w takim razie zarysowują się przed nami niewesołe perspektywy i będziemy mieli zupełne prawo powiedzieć politykom kowieńskim słowami bajkopisarza: „...żle się bawicie, dla was to jest igraszka, nam chodzi o życie!” A jakie grożą nam niebezpieczeństwa, o tem daje pojęcie zamieszczony poniżej wyjątek z artykułu wstępnego krakowskiego „Głosu Narodu”, reprezentującego wprawdzie nieliczną grupę chrześcijańskiej demokracji, która dziś nie posiada żadnego wpływu na kierunek wewnętrznej polityki w państwie polskiem, ale której nacjonalistyczne tendencje z łatwością znajdują oddźwięk również w wielu odłamach panującego obozu „jedyńki”.

Caveant consules!

Krakowski „Głos Narodu”, w związku z przerwaniem rokowań polsko litewskich zamieścił artykuł wstępny p. t. „Cóż z tą Litwą?”, w którym stwierdziwszy na początku, że Polska nie powinna się spodziewać żadnego innego efektu swych wysiłków w Genewie poza efektem moralnym, w dalszym ciągu zastanawia się nad pytaniem, „jakie musi być na przyszłość stanowisko Polski wobec polityki kowieńskiej?” i podaje następujący program:

„Polska może doskonale żyć i rozwijać się bez utrzymania stosunków z Litwą. Zdając sobie sprawę, że obecny stan na granicy potrwa jeszcze przez całe lata, musimy wszystko zrobić, aby Wileńszczyznę gospodarczo, komunikacyjnie, kulturalnie jak najściślej złączyć z Polską centralną, aby ją rzeczywiście i zupełnie od Litwy Kowieńskiej oderwać. Wileńszczyzna winna w związku państwowym z Polską zdobyć to wszystko, i więcej jeszcze, co w dziedzinie gospodarczej straciła przez zerwanie z Litwą. Winna przede wszystkim stać się obszarem w 90 do 100 procent polskim, pod względem kulturalnym tak

wysoko postawionym i tak w swej polskości silnym i jednolitym, by jej ewentualne przyłączenie w jakiegokolwiek formie do Litwy stało się w oczach Europy jawnym nonsensem, a dla samych Litwinów zbyt groźnym niebezpieczeństwem... Litwa spodziewa się dzisiaj, że przy jakiejś pomyślnej konjunkturze międzynarodowej zdobędzie znowu Wilno jużto przy pomocy Niemiec, jak w roku 1918, jużto z łaski Rosji, jak w roku 1920. Otóż my musimy stworzyć w Wileńszczyźnie taki stan, by Litwa na nią straciła apetyt. Spolszczona zupełnie, gospodarczo i kulturalnie nad Litwą górująca Wileńszczyzna musiałaby się stać — w razie ewentualnego do niej przyłączenia — czynnikiem, któryby państwo litewskie albo niezmiernie osłabił i nawet rozbił, albo też opanował i w jakiejś formie do Polski przyłączył. Jednej i drugiej ewentualności musieliby się politycy litewscy obawiać i ta obawa zahamowałaby gruntownie ich dążenie do odzyskania Wilna. Dzisiejsza Wileńszczyzna, gospodarczo osłabiona i kulturalnie zaniedbana przedstawia się dla Litwy jako teren podatny dla litwinizacji, bezwzględność nacjonalistyczna pp. Voldemarasów dałaby sobie — przy pomocy żydów i Białorusinów — radę (w pewnej mierze) z zwycięstwem polskim Wileńszczyzny. Wywłaszczeniem, wyrzucaniem zagranicę niewygodnych obywateli, zamknięciem szkół i innymi takimi środkami osłabiłby rząd litewski element polski tak bardzo, że przestałby być on nacjonalizmowi litewskiemu groźnym. Otóż nasza polityka musi pójść w kierunku takiego pogłębienia między Polską a Litwą różnic narodowych, gospodarczych i kulturalnych i takiego spolszczenia Wileńszczyzny, by sama myśl o przyłączeniu Wilna do Litwy przedstawiała się jako absurd, jako niebezpieczeństwo narodowe dla Litwy, jako groźba dla pokoju. Przyjmijmy zerwanie stosunków polsko-litewskich jako stan normalny i uważajmy, że Litwa jest od Polski tak daleką, jak np. Australja. Niech w myśl życzeń Kowna Litwini odzwyczajają się od jeżdżenia do Wilna, a Wilnianie do Kowna. Niech wytworzą się dwa zupełnie odrębne obszary, które nic a nic nie łączą. Przestańmy się denerwować brakiem stosunków z Litwą i mowami p. Voldemarasa. Właśnie bowiem taki brak stosunków między Wilnem a Kownem zespoli Wilno najściślej z Polską i zahamuje w samej Litwie dążenia do jego odzyskania”.

Mimo całej fantastyczności powyższego projektu, nie należy go zbytnio lekceważyć, tembardziej, że nie brak i dzisiaj wyraźnych wysiłków stosowania zalecanych przez „Głos Narodu” metod. A nie należy również zapominać o przysłowiu, że nim słońce wejdzie, rosa oczy wyje. Więc *caveant consules!*

Znamię czasu.

Znany w szerokich kołach demokratycznych wileńskich dr. Napoleon Czarnocki, zamieszkały obecnie na Wołyniu nadesłał nam artykuł, polemizujący z wywodami p. B. Hertza w sprawie białoruskiej. Niestety nie możemy go zamieścić nie tylko dlatego, że jest on zbyt obszerny i pod wielu względami zbyt subiektywny, ale z tego powodu przede wszystkim, że wyrażone w nim poglądy odbiegają tak daleko od stanowiska zasadniczego „Przeglądu Wil.”, iż

żadne zastrzeżenia ani omówienia nie są w stanie osłabić tego osłupienia, jakie twierdzenia dr. Czarnockiego musiałyby wywołać wśród naszych czytelników.

Chętnie udzielilibyśmy miejsca argumentom nawet naszych przeciwników ideowych, pod warunkiem wszakże aby cechowały je albo oryginalność albo przenikliwy krytycyzm i głęboka znajomość rzeczy. Mieliśmy prawo oczekiwać tego od działacza, który, jak sam przyznaje, był dawniej sympatykiem ruchu białoruskiego i nawet pisywał do gazet białoruskich. Tem bardziej przygnębiające wrażenie wywiera nadesłany nam artykuł, że nie zawiera on ani jednej myśli ani jednego spostrzeżenia ani jednej uwagi, którychbyśmy już tyle razy, aż do znudzenia, nie czytali na szpaltach „Dziennika Wileńskiego”, „Słowa” i t. p. organów nacjonalizmu lub imperjalizmu polskiego.

Jeżeli zaś nad głosem dr. Czarnockiego nie przechodzimy do porządku dziennego, to dlatego, że stanowi on niezmiernie charakterystyczne *signum temporis*. Na naszych oczach odbywa się wciąż zdumiewająca ewolucja przekonań i poglądów wybitnych przedstawicieli demokracji polskiej w kierunku wstecznym. Zapaleni do niedawna rewolucjoniści, szermierze wolności, postępowcy i radykali, dopóki naród polski jęczał w niewoli — przeobrażają się w zdecydowanych państwowców, nacjonalistów, militarystów, reakcjonistów, wyznawców wyśmiewanej niegdyś „racji stanu”, skoro tylko marzenia o niepodległości Polski przyoblekły się w kształty realne.

To wygląda zupełnie tak, jak gdyby jakiś socjalista, nieprzejednany wróg kapitalizmu, obrońca wyzyskiwanych mas pracujących, zdobywszy szczęśliwym trafem sporą sumkę, założył własne przedsiębiorstwo przemysłowe i począł stosować w nim tak surowo przedtem potępiane metody wyzysku robotników. Bywa tak w życiu nieraz. I nie należy bynajmniej sądzić, że takim rażącym przeobrażeniem podlegają jedynie natury cyniczne lub obłudne. Psychika najszerszych ludzi ulega często radykalnej zmianie pod wpływem zmienionych warunków bytu, okoliczności i wypadków.

Niewątpliwie, zupełnie szczerzy byli demokraci polscy, kiedy swego czasu głosili hasła wolnościowe, nawoływali do wspólnej walki z caratem, przyznawali bez zastrzeżeń wszystkim ludom prawo do samostanowienia i niezależnego bytu państwowego. I z całkowitą szczerością znów utrzymują dziś, gdy państwo polskie objęło obszary z rdzenną ludnością białoruską, ukraińską i litewską, że „planowanie na tych obszarach zarysów jakiegobądź innej państwowości jest zbrodnią, wymagającą stanowczego potępienia i zahamowania ze stanowiska interesu państwa polskiego, polskiego sumienia...”

Z tem *sumieniem* to jest najgorzej. W głębi duszy czuje się jednakże jakieś nieokreślone jego wyrzuty, i dlatego dr. Czarnocki stara się usprawiedliwić swe stanowisko *beati possidentis* bardziej przekonującymi argumentami, niż wyłączone powoływanie się na interes państwowy.

Wmawia więc w czytelnika, że samodzielna państwowość białoruska nie posiada odpowiednich warunków, ponieważ 1) niema języka białoruskiego, 2) niema narodu białoruskiego i 3) niema ściśle określonego obszaru białoruskiego. Aby nikt nie mógł nas posądzić o przesadę i tendencje karykaturalne, pozwolimy sobie przytoczyć odnośny ustęp artykułu dr. Czarnockiego w całości:

„W gwarze tej — pisze z całą powagą autor — istnieje bardzo bogata poezja ludowa. Najwytrwalszy zbieracz M. Federowski sam zgromadził tego na dobrych dziesiątek tomów, w domu moich rodziców wydobyl od jednej niepiśmiennej dziewczyny 300 pieśni i 70 motywów.

Czy dużo ta poezja zawiera pierwiastków oryginalnych, o tem niech mówią uczeni badacze porównawczy. Nie zaliczam się do nich, przewertowałem jednak kilka tomów tych bajek i pieśni. Muszę zaznaczyć rzecz charakterystyczną i fatalną dla apostołów niepodległości białoruskiej — nie natknąłem się nigdzie na pojęcie, na postać bohatera. Białoruskie słowo „bohater” oznacza tylko bogatego chłopca. Jakieś nikłe ślady eposu bohaterskiego można znaleźć tylko w naleciałościach kozacko-ukraińskich.

Taka powaga, jak Baudouin de Courtenay zalicza mowę białoruską do narzeczy, a Białorusinów do plemion.

Wystarczy elementarna znajomość historii, żeby plemieniu czy grupie plemion pokrewnych, które nigdy w dziejach nie tworzyły państwowości samodzielnej, nigdy dotychczas jako całość odrębna nie wystąpiły — nazwy „narodu” odmówić.

Pod względem geograficzno-gospodarczym materiał na odrębne państwo — nie lepszy: ani jednego bodaj kilometra naturalnej, łatwej do obrony, chociażby etnograficznie wyraźnej granicy. Żadna rzeka w całości nie leżałaby w granicach tego państwa. O żadnych dobrach kopalnych, z wyjątkiem gliny i kredy nic nie wiemy. Mocno przetrzebione lasy — jedyne poważne źródło wywozu, gleba żyzności średniej i mniej niż średniej. Nie tylko brak własnego morza, ale do cudzego dostęp dalszy, niż komukolwiek.

Nie: jeden machjawił, dobry organizator spiskowiec i były premier z dodatkiem kilkudziesięciu kandydatów na ministrów, wojewodów, starostów i t. p., jakich proces Hromady ujawnił, przy takim braku innych warunków, o jakim wyżej mowa — to stanowczo zamało na budowę samodzielnego państwa...”

Takimi oto „naukowemi” argumentami wojuje były „sympatyk ruchu białoruskiego”, inteligent, człowiek tutejszy, nie jakiś przybysz z dalekiego Pomorza lub Podhala. Rozpacz wprost ogarnia, gdy wypada mieć do czynienia z tego rodzaju „kompetencją” miejscowej inteligencji polskiej. Czegóż można wymagać od przeciętnego czytelnika „Dziennika Wileńskiego”, gdy podobne poglądy wygłaszają ludzie, którzy przez całe życie utrzymywali bliski kontakt z elitą intelektualną i ideową!

Ręce opadają, gdy dyskusję na temat kwestji białoruskiej trzeba rozpoczynać od abecadła. Czyż dr. Czarnocki naprawdę jest przekonany, że całe piśmiennictwo białoruskie ogranicza się do kilku tomów podań, bajek i przysłów, zebranych przez M. Federowskiego? Czy nie słyszał o Janku Kupale, o Łastowskim, o Jakubie Kołasie, o Antonim Nowinie, o M. Hareckim i wielu, wielu innych współczesnych poetach, publicystach i literatach białoruskich? Jeżeli istnieje jego zdaniem tylko gwara ludowa białoruska, to w jakimże języku są wydawane liczne czasopisma, podręczniki i nawet książki naukowe, któremi się posługują gimnazja białoruskie i uniwersytet w Mińsku? I po jakimu pisał sam dr. Czarnocki, gdy wspomina, że w r. 1920 współpracował w mińskiej gazecie białoruskiej?

Całkiem niefortunnie dr. Czarnocki powołuje się na autorytet naukowy prof. Baudouin de Courtenay. Właśnie ten uczony nie dalej jak w roku bieżącym na szpaltach „Przeglądu Wil.” wyłożył dobitnie, że „podstawiać terminy „język” zamiast „obszar gwarowy” i odwrotnie, można tylko przy panowaniu w głowie chaosu i pomieszania pojęć. Całkiem inne ugrupowania zbiorowisk ludzkich utrzymujemy, stosując do nich pojęcie obszarów gwarowych wymawianio-słuchowych, a znowu inne przy uruchomieniu pojęcia języków pisaniowo-wzrokowych”. Że język literacki białoruski jest jeszcze mało wyrobiony, że naród białoruski znajduje się dopiero w stadium krystalizowania się — nikt się z tem spierać nie będzie, ale skoro budzi się już świadomość narodowa białoruska w masach ludowych, skoro istnieją kadry inteligencji białoruskiej (choćby na razie nieliczne), to kwestjonować prawa tej grupy etnicznej (mniej-sza o to, czy ją nazwiemy plemieniem, czy narodem) do samodzielnego bytu i rozwoju nikomu nie wolno.

Czy państwo białoruskie może istnieć o własnych siłach — to dopiero czas wykaże. Przesądzać tej sprawy nie możemy. Zarzuty tego rodzaju jak brak bogactw kopalnianych, nieurodzajna gleba, brak naturalnych granic — nie wytrzymują krytyki, bo w tych samych warunkach istnieją jednakże Litwa, Łotwa i Estonia jako państwa niepodległe. Zresztą zawczasie jest mówić o konkretnych formach państwowości białoruskiej. Nie jest to palące zagadnienie dnia dzisiejszego. Chodzi jedynie o zasadę, o stanowisko demokracji polskiej wobec emancypacyjnych wysiłków patriotów białoruskich. Zdawałoby się że tu żadnej wątpliwości być nie może. A jednak dr. Czarnocki ustosunkowuje się do nich wręcz negatywnie. I to jest właśnie objaw najsmutniejszy zaniku w społeczeństwie polskim tego *sumienia*, na które niebacznie powołuje się niezbyt pewnie się czujący w nowej dla siebie roli imperjalisty polskiego ex-demokrata wileński.

a.

We własnej obronie.

P. Kazimierz Okulicz, poseł i redaktor „Kurjera Wil.” uczuł się dotkniętym szeregiem wzmianek, zamieszczonych o nim w naszym piśmie, dopatrując się w nim „inwektyw osobistych” i poświęcił im specjalny artykuł p. t. „Pro domo sua”, który wymaga odpowiedzi.

Przedewszystkiem muszę stwierdzić kategorycznie, że wspominając kilkakrotnie o p. Okuliczu, cytując jego słowa, polemizując z jego wywodami bynajmniej nie powodowałem się jakimiś względami osobistymi. Wynikło to stąd, że 1) p. Okulicz, jako poseł i publicysta w ostatnich czasach kilkakrotnie zabierał głos w kwestji litewskiej i 2) że ze zdaniem p. Okulicza rachuję się o wiele poważniej, niż z opinią wielu jego kolegów z Sejmu i po piórze, zmuszony więc byłem reagować na niektóre jego wystąpienia, wymagające sprostowania lub wyjaśnienia.

Ale rozpatrzmy pretensje p. Okulicza szczegółowo.

W pierwszym rzędzie dotyczą one zarzutu nieścisłości, który p. Okulicz popełnił wymieniając w swem przemówieniu, gołosłowną liczbę 65.000 Litwinów, rzekomo zamieszkałych w Okręgu Szkolnym wileńskim.

P. Okulicz upiera się przy swoim twierdzeniu w dalszym ciągu, powołując się na dane spisu z dn. 30 września 1921 r., zamieszczone w Roczniku Statystycznym Rzeczypospolitej Polskiej na r. 1925/26, według których ilość Litwinów w trzech województwach: Białostockiem, Wileńskiem i Nowogródzkim wynosi 67.894 głów. Nie mam pod ręką wymienionego Rocznika, nie mogę więc stwierdzić, kto się myli, czy Rocznik, czy p. Okulicz, ktoś jednak jest w błędzie, a to dla tej prostej przyczyny, że spis z r. 1921 nie obejmował, jak wiadomo, Litwy Środkowej, czyli, że przytoczona przez p. Okulicza cyfra nie może być oparta na danych tego spisu, o ile chodzi o większość województwa Wileńskiego, najbardziej nas obchodzącego. Główny Urząd Statystyczny operuje w stosunku do tego terenu danymi spisu z r. 1919, a jak ten spis był przeprowadzony, wie o tem dobrze każdy, kto pracował wówczas w Zarządzie Ziemi Wschodnich, a więc i p. Okulicz także.

Zresztą szczegółową analizę danych urzędowych co do ludności litewskiej w państwie polskim zawiera praca p. E. Maliszewskiego („Sprawy Narodowościowe” 1927 N 1) i chociaż p. Maliszewski bynajmniej nie jest skłonny do interpretowania ich na korzyść Litwinów, jednakże nawet w jego zestawieniu ogólna ilość Litwinów w granicach państwa polskiego wynosi 73.954, z czego na Okręg Szkolny wileński (nie licząc przyrostu naturalnego) przypada 67.082, a nie 58.636, jak podaje p. Okulicz. Zarzut więc mój nieścisłości nie jest gołosłowny, o co mię pomawia p. Okulicz, lecz oparty jest na danych konkretnych.

Niedokładność drugiej swej informacji co do ilości seminarjów litewskich p. Okulicz usprawiedliwia wprowadzeniem go w błąd przez źródło urzędowe, gdyż b. kurator Okręgu wileńskiego p. Rynie-wicz w wywiadzie ze współpracownikiem „Słowa” wyraźnie wspominał o dwóch seminarjach. Najlepszy to dowód, jak mało można polegać na informacjach urzędowych. Ale ja przecież nie oskarżałem p. Okulicza o fabrykowanie przytoczonych przez niego danych, jeno wykazałem ich nieścisłość. Czemuż więc moje obiektywne sprostowanie tak zirytowało p. Okulicza?

Jeszcze bardziej uczuł się dotkniętym p. Okulicz drugą wzmianką w tymże numerze „Przeglądu Wil.”, p. t. „Jaja czy kamienie?”, którą nazywa „całkiem paskudną”. Jeżeli czytelnicy przypominają sobie jej treść, zawierała ona pytanie, komu należy wierzyć, czy „Dziennikowi Wil.” i innym pismom, które podały wiadomość o obrzuceniu przez studentów litewskich wagonu odjeżdżającej z Kowna delegacji polskiej jajami, czy też p. Okuliczowi, który na komisji sejmowej mówił o obrzuceniu tegoż wagonu przez tychże studentów — kamieniami, przyczem dodał, że policja na dworcu kolejowym zachowywała się bezczynnie. P. Okulicz miałby prawo czuć się obrażonym z powodu mego braku zaufania do jego informacji jedynie w tym wypadku, gdyby sam należał do składu delegacji i osobiście był świadkiem wspomnianego incydentu. Ale jak p. Okulicz wyjaśnia, słyszał on o tem jedynie od jednego z członków delegacji, więc jego uraza jest conajmniej niezasadniona.

Rzucilem wtedy domysł, że może nie było ani jednego, ani drugiego, bo wiem z doświadczenia, ile już krążyło w ostatnich latach zmyślonych historii na temat stosunków polsko-litewskich, a upoważniało mię do tego niezrozumiałe milczenie czynników ofi-

cialnych wobec bądź co bądź tak wyjątkowego zajścia. Jakto? Odjeżdża delegacja obcego państwa, niemal o charakterze poselstwa, publiczność bombarduje ją kamieniami, policja zachowuje się biernie, a rząd polski milczy i nie zgłasza żadnego protestu, mimo, że p. Okulicz na Komisji Sejmowej daje energiczny wyraz swemu oburzeniu? Czyż wobec tych okoliczności nie mogła mi się nasunąć wątpliwość co do ścisłości i prawdziwości relacji p. Okulicza? Nie mogę dotąd w żaden sposób zrozumieć, czemu moja wątpliwość ma być „całkiem paskudna”?

Wreszcie trzecia pretensja p. Okulicza dotyczy artykułu wstępnego w „Przeglądzie Wil. p. t. „O prawa historyczne”, ściślej pewnego jego ustępu, który brzmi dosłownie tak: „Ale tylko człowiek uprzedzony i zaślepiiony niechęcią może utrzymywać, jak to czyni p. Okulicz, że nacjonalizm litewski po wsze czasy będą cechowały skrajna wyłączość i ciasnota pojęć”.

Obecnie p. Okulicz utrzymuje, że nigdzie i nigdy w sposób wyżej podany swego zdania o nacjonalizmie litewskim nie wyrażał. Oczywiście dosłownie p. Okulicz pisał inaczej, lecz myśl przewodnia jego twierdzenia była właśnie taka. Na dowód przytaczam odnośne słowa z artykułu p. Okulicza p. t. „Bezcelowa demonstracja” (Kurjer Wil. Nr. 119): „Nacjonalizm litewski nigdy, w żadnych okolicznościach i przy żadnych koniunkturach nie może się przeobrazić w czynnik twórczy z punktu widzenia ideologii krajowej”. Czyż nie ten sam sens?

Pozatem p. Okulicz upatruje w przytoczonym wyżej ustępie najmocniej tu właśnie zaakcentowaną „inwektywę osobistą”. Drażliwość posunięta do najwyższego stopnia! W każdej krytyce można ostatecznie dopatrzeć się wycieczki osobistej. Ani zaślepienie ani uprzedzenie nie są przecież jakimiś cechami nieetycznymi, przynoszącymi ujmę honorowi, rzucającymi cień na charakter człowieka. Są to takie same właściwości psychiki, jak doktryneryzm, krótkowzroczność, fanatyzm, niekonsekwencja i t. p. Czyż miałbym prawo obrażać się, gdyby ktoś w dyskusji zarzucił mi np. utopijność i napisałby o mnie, że „tylko człowiek, nie liczący się z rzeczywistością może propagować, jak to czyni p. L. A., ideę wskrzeszenia W. Ks. Litewskiego”?

Przy sposobności muszę sprostować twierdzenie p. Okulicza, jakobym znacznie przychylniej oceniał nacjonalizm litewski, niż polski. Niezupełnie tak. Nigdy nie porównywałem nacjonalizmu litewskiego z nacjonalizmem polskim, lecz wyłącznie z nacjonalizmem Polaków litewskich. A to jest znaczna różnica. Zarówno nacjonalizm polski, jak litewski, mimo wielu ich ujemnych stron, są zjawiskami naturalnymi i w początkowym swym stadium nie są nawet pozbawione pierwiastków twórczych. Co innego nacjonalizm Polaków litewskich czyli spolonizowanych (choćby od szeregu pokoleń) Litwinów i Białorusinów. Jest to naleciałość sztuczna i bezwzględnie szkodliwa, prostoprostu zwyrodnienie moralne. P. Okulicz zapewnia, że zjawisko to jest przemijające. Być może. Wszystko mija na świecie. Ale tymczasem choroba toczy organizm.

Zresztą kwestję tę omówiłem dość obszernie w artykułach „Tlejące węgle” oraz „O prawa historyczne”. P. Okulicz pominał milczeniem myśl przewodnią tych artykułów, wyrwał z nich parę zdań, opuszczając towarzyszącą im argumentację i z gory-

czą utrzymuje, że polemika w tych warunkach staje się nie tylko przykra i nieszczerą, ale też i najzupełniej bezcelową.

W zupełności podzielam ten pogląd, ale ze swej strony z całym naciskiem muszę podkreślić, że „Kurjer Wileński” (zarówno jak „Słowo”) stale uchyla się od dyskusji zasadniczej i rzeczowej, uprawiając „paskudną” rzeczywiście metodę demonstrowania na swych szpaltach najbardziej jaskrawych, a w oderwaniu od całości brzmiących nieraz istotnie niemal prowokacyjnie moich twierdzeń i uwag. Jest to znany i wypróbowany sposób urabiania opinii o swym współzawodniku lub przeciwniku politycznym. Celuje w nim zwłaszcza p. Cat ze „Słowa”, którego bezceremonjalne postępowanie z moimi artykułami potrafiło wytrącić mi nawet parokrotnie z równowagi. Ale na ogół jestem tak już do tego przyzwyczajony, że do głowy mi nawet nie przychodzi skarżyć się i upominać się o swe krzywdy. A p. Okulicz tak rzecz całą przedstawia, jakgdybym ja właśnie był wilkiem, napastującym niewinne owieczki. O ironjo!

L. A.

Z mego notatnika.

Zagadka regionalna.

Kiedy słyszę dokoła gorące rozprawy na temat regionalizmu, przychodzi mi na myśl znana zagadka rosyjsko-ormiańska: „W gabinecie wisi coś czerwonego, za dotknięciem — piszczy. Co to jest?” Odpowiedź: — „Śledź”. „Dlaczego śledź wisi w gabinecie?” „Jak się go powiesi, to będzie wisiał”. „Dlaczego śledź ma być czerwony?” „Jak się go ufarbuje na czerwony kolor, to będzie czerwony”. „A dlaczego piszczy?” „A to żeby trudniej było zgadnąć!”

Co to jest regionalizm? P. Czesław Jankowski w „Słowie” zastanawia się nad pochodzeniem etymologicznym tego słowa i daje dokładne tłumaczenie wyrazów „regjon” i „regjonalny”, jednakże pojęcie „regjonalizmu” i przez niego nie zostało ściśle zdefiniowane. Kiedyś z okazji wydania pierwszego zeszytu czasopisma „Źródła mocy” „Przegląd Wil.” zamieścił artykuł, wykazujący dowodnie, że regionalizm w żadnym razie nie należy mieszać z krajością, która na swoje wyraźne i indywidualne oblicze — przynajmniej na naszym gruncie. Ale wtedy o regionalizmie zaledwie gdzieś prześlakowano. Od tego czasu moda regionalna ogarnęła wszystkie sfery i wszystkie dziedziny życia społecznego, kulturalnego a nawet politycznego, i dziś niema gabinetu, gdzieby nie wisiał taki śledź, pomalowany na czerwono.

W rzeczy samej mamy już komitety regionalne „Jedynki”, komitety regionalne wojewódzkie, uniwersytet regionalny w Trokach, organ regionalizmu państwowego p. t. „Nasz Kraj”, wystawę regionalną, a nawet powieści regionalne.

Bezmyślność w używaniu tego zagadkowego terminu doszła w ostatnim wypadku do szczytu. Warto byłoby wyznaczyć wielką nagrodę temu, kto by potrafił wytłumaczyć dokładnie, co znaczy „powieść regionalna”. Można jeszcze zrozumieć komitety reg-

jonalne jako przeznaczone do działania na pewnym określonym terytorjum, chociaż prościej byłoby po prostu na przymiotniku „wojewódzki”, który całkiem dostatecznie określa zakres kompetencji i charakter takiej instytucji, ale jaki sens ma ten termin w zastosowaniu do utworu literackiego? Czy ma on oznaczać, że akcja w powieści toczy się na przestrzeni jakiegoś regionu? Ale większość powieści (z wyjątkiem fantastycznych) za tło ma pewne konkretne terytorjum. Jeżeli chodzi o współczesną literaturę polską, to rzecz dzieje się zwykle albo w Warszawie, albo w Krakowie lub Lwowie, albo w Łodzi, albo gdzieś na wsi. Każda więc prawie powieść ma prawo do tytułu „regionalnej”. Nie mówiąc już o takich specyficznych utworach, jak „Chłopi” Reymonta, „Na skalnem Podhalu” Tetmajera, „Nad Niemnem” Orzeszkowej, „Dewajtis” Rodziewiczówny i t. p., do „regionalnych” powieści należałoby zaliczyć większość powieści Gawalewicza, Bałuckiego, Kosiakiewicza, Sewera, Junoszy, Zacharjasiewicza, Dygasińskiego, Orkana, Weysenhofa i wielu, wielu innych, którzy opisywali czy to świat drobnomieszczański w Warszawie i Krakowie, czy stosunki wiejskie w rozmaitych okolicach Polski, czy nawet przenosili swą akcję powieściową na Litwę i Białoruś. Ba, nawet „Ludzi bezdomnych” Żeromskiego można zupełnie słusznie nazwać powieścią regionalną, ponieważ i tam odmalowane jest środowisko robotnicze w Warszawie i Zagłębiu Dąbrowskim, a wszakże i w tych miejscowościach działają obecnie wojewódzkie komitety regionalne!

Oczywiście jest to zupełny nonsens tytułować regionalnymi powieści Niedziałkowskiej-Dobaczewskiej i A. Millera jedynie dlatego, że autorzy zaczerpnęli tematy ze stosunków wileńskich i odmalowali typy litewsko-białoruskie. Miałoby to jakąś rację tylko wtedy, gdyby regionalizm był związany wyłącznie z naszym krajem. Ale modna dziś akcja regionalna obejmuje wszakże w równej mierze województwo Wileńskie, jak Łódzkie i Kieleckie, więc obecnie jest wszystko w państwie polskim regionalne, poczynając od polityki a kończąc na literaturze. Makuzko, a doczekamy się regionalnej filozofii i regionalnej medycyny!

A dlaczego wszędzie widnieje etykieta regionalna? Żeby trudniej było odgadnąć, o co chodzi.

Licz.

Przeгляд prasy żydowskiej.

Na tle zakończonogo wielkiego procesu komunistycznego w Białymstoku, w którym jako podsądni przeważają Żydzi p. P. Kaplan, redaktor „*Dos Naje Leben*” czyni następujące charakterystyczne i słuszne uwagi:

„Skąd ten niszczycielski duch u naszej młodzieży prowincjonalnej, wśród której prawie niema elementu robotniczego i podstaw do walki klasowej?”

Co ciekawsza, w Rosji Sowieckiej, gdzie komunizm jest przywilejem i karierą, komuniści żydowscy nie przekraczają odsetka żydowskiej ludności w stosunku do ogółu ludności. Tutaj zaś gdzie komunizm związany jest z niebezpieczeństwem, gdzie za rozdawanie proklamacyj można być pozbawionym swobody osobistej na przeciąg kilku lat i nietrudno zwichnąć karierę życiową, udział żydowski jest tak wybitny”.

P. Kaplan fakt ten przypisuje niezwykle ciężkiej sytuacji gospodarczej, w jakiej znaleźli się ostatnio Żydzi, dodając:

„Nikt z nas sobie nie wyobraża, ażeby w ciągu dnia dziesiątki tysiące Żydów zostały przekształcone w urzędników państwowych, inne dziesiątki tysiące Żydów w robotników wielkiego przemysłu, wreszcie inne dziesiątki tysiące Żydów w rolników. Gdyby nawet czynniki miarodajne chciały to uczynić, nie byłyby w stanie tego przeprowadzić. Ale gdyby istniały te dobre chęci, któreby przekute zostały na drobne bodaj czyny, to byłyby one pociechą i pokrzepieniem dla tysięcy złamanych dusz. Ale właśnie tych dobrych chęci brak”.
A jaka jest sytuacja młodzieży żydowskiej?

„Otóż tysiące żydowskich młodzieńców nie mają żadnych widoków na przyszłość. Czują się oni jakby, zbyt czynnymi ludźmi na świecie. Świat dzisiejszy przyniósł im rozczarowanie, a więc chcą go naprawić. Uważają się oni za idealistów, mających tylko na celu dobro ogółu. W istocie zaś jest to gra *va banque*, są to ostatnie karty zrozpaczonych”.

I stąd wypływa taka oto nauka:

„Nienormalny stosunek procentowy, zachodzący pomiędzy chrześcijańskimi i żydowskimi oskarżonymi, wykazuje aż nazbyt dobitnie, że polityka nie odegrała pośledniej roli w ukształtowaniu się ich charakterów. To co się stało, donośnym głosem przemawia do wszystkich obywateli Rzeczypospolitej Polskiej, że czas najwyższy leczyć chroniczne rany, zadane przez nierówność i bezprawie”.

A że we wszystkich dziedzinach życia żydowskiego daje się dotkliwie odczuwać ból, wynika z nierównego traktowania elementu żydowskiego — świadczy o tem chociażby artykuł p. N. Kastelańskiego na łamach „*Wilner Togu*”.

Wyjaśnia on mianowicie dlaczego na gruncie wileńskim nie dochodzi do skutku połączenie syndykatu dziennikarzy polskich z syndykatem dziennikarzy żydowskich.

Stwierdziwszy na wstępie, że połączenie tego rodzaju, które już miało miejsce w Warszawie, Łodzi i Krakowie, nie wynikało bynajmniej, jeśli chodzi o stronę polską, z pobudek ideowych, a raczej ze względów praktycznych, poddaje on ostrej krytyce postępowanie syndykatu dziennikarzy żydowskich w Warszawie.

„Zarząd syndykatu dziennikarzy warszawskich p. N. Kastelański — składa się wyłącznie z Polaków. Dziennikarze żydowscy mają tylko, zgodnie z umową, „prawo delegowania przedstawiciela na posiedzenie zarządu”.

„Wprawdzie jeśli chodzi o sprawy zawodowe, dotyczące wyłącznie pism żydowskich, zachowują dziennikarze żydowscy autonomiczne prawa, ale oprócz codziennych spraw zawodowych istnieją przecie sprawy o znacznie szerszym zakresie.

„Tylko w Wilnie syndykat dziennikarzy żydowskich postawił jako warunek *sine qua non* równouprawnienie dziennikarzy żydowskich. I oto dlaczego połączenie syndykatów napotyka na trudności”.

Dochodzą nas dalekie echa współdziałania kulturalnego pomiędzy Litwinami i Żydami na terenie republiki litewskiej.

Jak informuje „*Caj*” ostatnio odbyło się w Kownie pod przewodnictwem prof. Michała Birzyski organizacyjne zebranie stowarzyszenia, mającego na celu zbliżenie i współdziałanie pod względem kulturalnym pomiędzy Litwinami i Żydami.

Na zebraniu tem podkreślono ze strony litewskiej doniosłość wychowania społeczeństwa litewskiego w duchu faktycznego równouprawnienia wszystkich zamieszkujących Litwę narodowości.

Akcja ta jest ze wszęch miar godna uwagi i w znacznym stopniu przyczynić się może do złagodzenia antagonizmów istniejących pomiędzy społeczeństwem litewskim i żydowskim.

Miecz. Gold.

NIEURODZAJ.

Coraz częściej z rozmaitych zakątków kraju nadchodzą trwożliwe wiadomości o grożącym ogólnym nieurodzaju. Zdawałoby się, że mając przed sobą pełne dwa miesiące lata, ryzykownym jest stawianie już decydującej prognozy. Jednak warunki pogody i stan zasiewów, upoważniają do pewnych wróżb w tym względzie. Warunki pogody wykoleiły zupełnie normalny bieg upraw wiosennych. Czas zasiewów w wielu miejscowościach został niezwykle opóźniony. Mało tego warunki wegetacji były fatalne. Z tego względu rozwój zasiewów został silnie wstrzymany. Wszystko jest opóźnione. Szczególnie groźnie przedstawia się rzecz z kartoflami. Sadzenie kartofli było wogóle opóźnione. Dosyć powiedzieć, że do połowy czerwca sadzono kartofle. Posadzone kartofle leżą w zimnej i przemokłej ziemi niezmiernie długo; miejscami już gniją. W ogrodach warzywnych jeszcze pusto. Rost łąk i koniczyn upośledzony. Koniczyn dużo wymarzło. Niemeljorowane łąki w wielu miejscach stoją pod wodą. Jednym słowem obraz nieciekawym.

Nie wszędzie jest równie źle. Tam i ówdzie słyży się o dobrym wyglądzie żyta, o niezłym stanie wcześniejszych zasiewów jarzyn. Miejscami koniczyny są nawet ładne, tylko opóźnione. Trudno więc jeszcze ustalić zakres klęski. Ale pewien ogólny stan urodzaju można przewidzieć.

Najpomyślniejsze warunki w drugiej połowie lata nie zdołają wyrównać tego, co zostało stracone. A straciliśmy już bezpowrotnie dużo słońca i ciepła, tych niezbędnych czynników urodzaju. Dla naszego klimatu, upośledzonego co do ogólnego czasu wegetacji, jest bardzo cenny okres krótkich nocy. Ten okres odznacza się najintensywniejszym rostem roślin, gdyż słońce dłużej operuje. Co prawda nic się pod tym względem nie zmieniło, jednak mało pełnych dni słonecznych, przy małym cieple, obniżyło znacznie siły wegetacyjne roślin, a w ten sposób ten okres nie został przez rośliny wykorzystany należycie. W tym okresie zamało mieliśmy i słońca i ciepła, a za dużo wody. Fakt ten nie może nie odbić się na urodzaju jarzyn, a najbardziej niepomyślnie to odczują kartofle. Odebranie od rośliny dobrych paru tygodni czasu, z najlepszego okresu jej życia — nie może przejść dla niej bezkarnie. I dlatego trzeba zgóry przewidzieć, że opóźnienie tak znaczne rozwoju kartofli nie może im rokować pomyślnego urodzaju, gdyż nie wystarczy już czasu na wydanie pełnego plonu. Z dużym więc prawdopodobieństwem można określić, że dobrego urodzaju kartofle już nie dadzą.

O stanie urodzaju decydują u nas głównie dwie rośliny: żyto i kartofle. Jeżeli plony tych dwóch roślin zapowiadają się niepomyślnie, to nie można już mówić o ogólnym pomyślnym stanie urodzaju. A obecny rok tak się właśnie zapowiada. Coprawda żyta znacznie się poprawiły, jednak fakt jest, że niedobory w urodzaju żyta będą dosyć poważne, gdyż to co wyginęło po zimie, nie będzie mogło być wyrównane.

Nieciekawie zapowiadają się i zbiory pasz. Raczej należy przewidzieć, że zbiory te będą niepomyślne. Koniczyny dużo wymarzło. Np. drugoletnia koniczyna mało gdzie pozostała, w pierwszorocznej są znaczne szczyby. Są takie miejscowości, gdzie ludzie obawiają się zostać bez siana, gdyż dotychczas łąki stoją pod wodą. Szczególnie groźnie

przedstawia się ta sprawa w powiecie Brasławskim. Wogóle z powiatów północnych dochodzą wieści bardzo nieciekawe. Tam zbyt załało, tak, że wprost wszystkiego jest upośledzony. Charakterystycznym było powiedzenie jednego z agronomów powiatowych, którego zagadnięto o pokazach inwentarza, powiedział on: „Dajcie spokój teraz z pokazami, zanadto wszyscy są przygnębieni stanem urodzajów”. Jakoby w wielu miejscach przewiduje się potrzebę likwidowania znacznej ilości inwentarza z powodu przewidywanego braku poszoru. Być może druga połowa lata będzie pomyślną, być może dużo się jeszcze naprawi, jednak niewarto zbyt ludzić się dobrą nadzieją, a raczej należy przygotować się na gorszą ewentualność.

W warunkach urodzajności naszej gleby i niskiej kultury rolnej, większy niedobór w urodzajach, łatwo może przerodzić się w klęskę. Zanadto niską wydajność ziemi mamy wogóle, urodzaje nasze są prawie stale nawpół głodowe. Każde ich obniżenie tembardziej staje się groźnym. A pamiętać należy, że już 3-ci rok z rzędu mamy niepomyślny, z tych lub innych względów. W 1926 r. mieliśmy niedobór żyta, w 1927 zawiodły jarzyny i kartofle. Trzeci rok niepomyślny tembardziej stanie się ciężkim dla rolnictwa naszego. To też większość rolników nie mogła wykorzystać pomyślniej zwyczajki cen na produkta rolne, gdyż skutkiem złych urodzajów mało mieli do zbycia. Przeciwnie wysokie ceny nasion, szczególnie owsów i kartofli — obciążyły raczej naszych rolników, którzy znaczne ilości nasion musieli dokupić.

Przewidywany w roku bieżącym nieurodzaj, musi zawczasu spowodować pewne środki zaradcze. Jednym z aktualnych zagadnień, wynikłych z nieurodzaju, będzie brak paszy w pewnych powiatach. Rolnicy w ciągu paru ostatnich lat dohodowali sporo inwentarza, na który ceny (szczególniej na bydło) znacznie wzrosły. Brak paszy w powiatach zagrożonych zmusi rolników do wyzbywania się inwentarza. Przy fatalnym nieuregulowaniu zbytu inwentarza, który wciąż znajduje się w kleszczach spekulacji, niedobór paszy może się przyczynić do hulania spekulacji na karbach zbiedzonych rolników. Wartoby tą sprawą się zająć i niedopuszczyć do spekulowania na biedzie rolników. Nie chcemy tu wskazywać dróg, przy pomocy których możnaby to zrobić, niech czynniki zainteresowane, a przedewszystkiem organizacje rolnicze o tem pomyślą. Jako na jeden ze sposobów pomocy możnaby wskazać na ułatwienie zaopatrzenia się w pasze treściwe (otręby, makuchy), które, jakkolwiek nie mogłyby całkowicie zaradzić brakowi pasz podstawowych (słoma, siano, kartofle), jednak w znacznym stopniu mogą ułatwić przetrwanie ciężkiej zimy. Państwowy Bank Rolny mógłby w tem dużo dopomóc, dostarczając dogodnego i łatwego kredytu na wczesny zakup pasz treściwych.

* * *

Stan rzeczy nasuwa pewne uwagi. Upajamy się chętnie powierzchownymi efektami naszego postępu — unikamy zaś dotykania zagadnień trudnych, lecz kapitalnych dla rolnictwa. Chodzi wszak o masowe i trwałe podniesienia produkcji rolnej, a nie o poszczególne kwiatki.

Do takich kapitalnych zagadnień, usuwanych w cień, należy meljoracja. Rzecz trudna — są łatwiejsze. Jest to ta dziura w dachu, o której zapomina się podczas dobrej pogody. Gdy jednak zaczęło lać na głowę, warto, przynajmniej, zastanowić się nad tą palącą sprawą. Wszak niektóre powiaty

są zatopione prawie. Tak pow. Braślawski, w niektórych miejscach, kiśnie w błocie. Ale po co tu mnożyć przykłady, kiedy wszyscy o tem dobrze wiemy. Brak karmu — makuchami i otrębami radzimy łącać niedobory siana. A dziesiątki tysięcy hektarów łąk kwasi się w wodzie, nic rolnictwu nie dając. Nasze postępy w hodowli, rasowe bydło?

Hektar łąki daje nieraz wóz lichego siana! Oto jest zagadnienie kapitalne.

A co mamy rezonować o sztucznych nawozach, gdy wysadzone kartofle na polu gniją. Nie wszędzie? Ale w wielu miejscach tak jest.

„Tygodnik Rolniczy”.

R. Węckowicz.

KRONIKA.

Protesty i obrona. Skandaliczna uchwała Senatu U. S. B. w sprawie prof. Petruszewicza znalazła jednak należyty oddźwięk w społeczeństwie polskiem. Po dłuższym namyśle zabrało głos w nader oględnej, co prawda, formie „Słowo”, a zaraz po niem w bardziej ostrym tonie „Kurjer Wileński”. Wreszcie wystąpiła z protestem również Wileńska Rada Adwokacka. Natomiast na łamach „Dziennika Wil.” jakiś „Odpornik” (*sic!*) dopatrywał się w tych protestach wpływów kultury rosyjskiej, która rzekomo nie pozwalała nawet elementarnym pojęciom prawnym wrosnąć w świadomość powszechną. Jeżeli istotnie wpływom rosyjskim należy przypisać te objawy tolerancji i postępowości, jakie jeszcze tkwią w powojennem społeczeństwie polskiem, to bardzo smutnie świadczy o wartości kultury polskiej. Na szczęście tak źle nie jest. Raczej ów „Odpornik” nasiąknął wpływami rosyjskiej „czarnej sotni” i tęskni — może nawet nieświadomie — do metod, stosowanych w okresie panowania bezwzględnej reakcji przez ministrów Kasso i Szczegłowitowa. Wiemy do czego ich rządy doprowadziły oświatę, sądownictwo, a w końcu i całe państwo rosyjskie. Nie mogą nie wiedzieć o tem również tacy „Odpornicy”, a jednak nigdy nie potrafia przewyciężyć swego wrodzonego popędu do wstecznictwa.

Ponętne zapowiedzi. Jak donoszą „Kurjer Wil.” i „Słowo”, d. 4 b. m. odbyło się w Wilnie posiedzenie Wileńsko-Nowogródzkiego Koła Posłów i Senatorów Klubu B. B. pod przewodnictwem posła Jana Piłsudskiego. Posiedzenie poświęcone było dyskusji nad referatami senatora W. Abramowicza i posła K. Okulicza, wygłoszonymi na posiedzeniu koła w Nowogródku w dniu 17 czerwca roku bież.

Po wyczerpującej dyskusji nad temi referatami, oraz nad wnioskami zgłoszonymi przez posła K. Okulicza w sprawie szkolnictwa białoruskiego koło powzięło następującą uchwałę: „Celem uregulowania spraw dotyczących szkolnictwa białoruskiego Koło uważa za potrzebne i wskazane co następuje:

- 1) Upaństwowienie szkolnictwa białoruskiego w granicach uzasadnionych obiektywnie stwierdzonymi potrzebami ludności białoruskiej;
- 2) Zmiana ustawy z dn. 31 lipca 1924 r. zawierającej niektóre postanowienia o organizacji szkolnictwa (Dz. U. R. P. Nr. 79 poz. 766 z r. 1924) w kierunku umożliwienia wykonania punktu pierwszego, oraz usunięcia walk narodowościowych na tle szkolnictwa przez zaniechanie między innymi zasady plebiscytów szkolnych i systemu utrakwistycznego;
- 3) Niezwłoczne uchylenie zastosowanie okólnika ministra Dobruckiego z dn. 30 marca 1927 r. Nr. 1 — 2170/28 do obwodów bezszkolnych.
- 4) W związku z uchyleniem powyższego okólnika poddanie rewizji orzeczeń o otwarciu szkół powszechnych, zapadłych na podstawie plebiscytu szkolnego w roku 1927.
- 5) Utworzenie z początkiem przyszłego roku szkolnego państwowego białoruskiego seminarjum nauczycielskiego w Wilnie.
- 6) Do czasu upaństwowienia gimnazjów prywatnych białoruskich w Wilnie i Nowogródku udzielenie im oraz bursom przy nich pomocy finansowej w tej czy innej postaci.
- 7) Nadanie tym gimnazjom od początku przyszłego roku szkolnego praw publiczności.
- 8) O ile zostaną przyjęte na etat państwowy gimnazja białoruskie w Wilnie i Nowogródku — przekształcenie prywatnych gimnazjów białoruskich w Radoszkowiczach i Klecku na państwowe białoruskie szkoły powszechne siedmioklasowe, lub szkoły zawodowe.
- 9) Utworzenie na Uniwersytecie Wileńskim katedry lub lektoratów

- 10) Utworzenie przy Kuratorjum wileńskiem referatu szkolnictwa białoruskiego, oraz komisji dla opracowania i wydania programów nauczania i podręczników dla szkół białoruskich — z udziałem przedstawicieli ruchu oświatowego białoruskiego.
- 11) Zaopiekowanie się przez państwo muzeum białoruskiem w Wilnie i udzieleniem mu pomocy materialnej.
- 12) Wprowadzenie samorządu szkolnego w województwach północno-wschodnich na wzór samorządu szkolnego w województwach centralnych”.

O ile rząd przychylił się do powyższych dezyderatów i uczyni im zadość, będzie to niewątpliwie wielki krok naprzód w dziedzinie oświaty białoruskiej. Zbyt jednak ponętnie wygląda zamierzona reforma, by można było uwierzyć w jej urzeczywistnienie. Niezależna prasa białoruska nie ukrywa swego sceptycyzmu.

Nowi rektorzy. Na uniwersytecie wileńskim na nowy rok akademicki został obrany ks. prof. Falkowski, na uniwersytecie kowieńskim po prof. Römerze godność rektorską objął prof. Jodele.

Maturzyści litewscy i białoruscy. Po raz pierwszy w tym roku maturzyści gimnazjów białoruskich wileńskiego i nowogródzkiego składali egzaminy przed państwową komisją egzaminacyjną, której przewodniczył prof. Massonius. Z liczby dwunastu dopuszczonych do egzaminów abiturjentów otrzymało maturę dziesięciu, co wcale dobrze świadczy o poziomie gimnazjów białoruskich.

Natomiast w gimnazjum litewkiem im. W. Ks. Witolda spośród 25 egzaminujących się złożyło egzaminy maturalne z powodzeniem zaledwie 17-u, wskutek bardzo surowych wymagań egzaminatorów. Wśród młodzieży zapanowało silne rozgoryczenie, które znalazło swój wyraz w zrezygnowaniu z tradycyjnego balu maturalnego.

Nowy wąż morski. Znaną jest anegdota, że gdy któryś z redaktorów warszawskich skarżył się cenzorowi rosyjskiemu na brak tematów z powodu zbyt ostrej cenzury, ten mu odpowiedział: „Nu, tak piszicie o wężu morskim”. Dziś cenzury już niema, ale widocznie brak tematów daje się, mimo to, mocno we znaki redakcji „Myśli Niepodległej”, gdyż p. Niemojewski upatrywał sobie takiego „węża morskiego” w osobie redaktora „Przeglądu Wil.” i zapelnia całe szpalty opowieściami o jego potwornym wyglądzie, podstępnej naturze i żarłocznych instynktach.

A że wąż morski, jak wiadomo, ma być pozostałością szczątkową z epoki dyluwialnej, więc też i p. Niemojewski mówiąc o nim sięga do czasów niemal przedhistorycznych, rozwodząc się szeroko nad zaleźnością Inflant i Kurlandji od Litwy i Polski w XVI wieku i dziwiąc się, że potwór wielkolitewski nie ostrzy sobie zębów na tak łakomy kąsek. Cóż robić, widocznie stępiły mu się kły na twardych mazurskich kościach, a może poprostu jego żarłoczność jest tylko wytworem fantazji dziennikarzy warszawskich?

OD WYDAWNICTWA.

Następny numer ukaze się dopiero w sierpniu.

Od dnia 18 lipca do dnia 8 sierpnia Redakcja i Administracja naszego pisma będą nieczynne.

Treść numeru:

Gra, czy zabawa? — Caveant consules. — a. Znamię czasu. — L. A. W obronie własnej. — Licz. Z mego notatnika. — M. Gold. Przegląd prasy żydowskiej. — R. Węckowicz. Nieurodzaj. — Kronika.